

LISA GARDNER JEST JEDNĄ Z MOICH ULUBIONYCH AUTOREK.

Karin Slaughter

LISA GARDNER

SAMOTNA

Masz tylko kilka sekund na decyzję
i całą wieczność, by jej żałować.

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:
ALONE

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2005
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Jerzy Żebrowski 2021

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcie na okładce: © Andrej Cosma/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

TEJ NOCY, GDY NADESZŁO wezwanie, miał za sobą piętnaście godzin służby. Na międzystanowej dziewięćdziesiątce było zbyt wielu niecierpliwych kierowców, co prowadziło do licznych kolizji. O tej porze roku miasto właśnie tak wyglądało. Drzewa były nagie, szybko zapadał zmierzch i zbliżało się Święto Dziękczynienia. Pogoda była paskudna. Po beztróskim letnim sezonie grillowania na opustoszałych ulicach słyszało się jedynie chrzęst suchych liści na zimnych chodnikach.

Wielu gliniarzy narzekało na krótkie szare dni lutego, ale Bobby Dodge nie lubił właśnie listopada. I ten dzień nie zmienił jego nastawienia.

Zaczął dyżur od drobnej stłuczki, a potem dwóch kolejnych, spowodowanych przez kierowców jadących na północ. Po czterech godzinach papierkowej roboty sądził, że najgorsze już za nim. Potem, wczesnym popołudniem, kiedy ruch powinien być płynny nawet na wiecznie zakorkowanej dziewięćdziesiątce, doszło do karambolu pięciu samochodów, gdy rozpuśczonego taksówkarza próbował przeciąć cztery pasy ruchu naraz i grzmotnął w niego z całej siły jadący hummerem zestresowany facet z agencji reklamowej.

Hummer przyjął cios jak bokser wagi ciężkiej, a zardzewiała taksówka została znokautowana i przy okazji uderzyła w trzy inne samochody. Bobby musiał wezwać cztery lawety, sporządzić szkic sytuacyjny wypadku, a potem aresztować kierowcę hummera, bo okazało się, że ten wypił do lunchu trzy martini.

Przyłapanie go na jeździe po pijanemu oznaczało więcej papierkowej roboty, wyprawę na komisariat w południowej części Bostonu – w godzinach szczytu, kiedy nikt nie respektuje pierwszeństwa przejazdu, nawet radiowozu – i jeszcze jedno starcie z nadzianym gościem z agencji reklamowej, który odmówi wejścia do celi.

Facet był o dobre dwadzieścia pięć kilogramów cięższy niż Bobby. Jak wielu ludzi mających przed sobą przeciwnika o mniejszej posturze, pomylił wagę z siłą i zignorował ostrzegawcze sygnały, które powinny wyprowadzić go z błędu. Chwycił prawą ręką framugę drzwi i obrócił się raptownie, chcąc zwalić z nóg swym potężnym cielskiem eskortującego go policjanta. Na co liczył? Że ucieknie z komisariatu, gdzie roilo się od uzbrojonych funkcjonariuszy? Bobby zrobił unik, wystawił nogę i patrzył, jak grubas pada z hukiem na podłogę. Kilku policjantów przystanęło, okłaskując darmowe widowisko.

– Zaskarżę cię, kurwa! – krzyknął pijany mężczyzna.
– Ciebie, twojego przełożonego i cały pieprzony stan Massachusetts. Wykupię tę melinę, słyszysz? Dobiorę ci się, kurwa, do dupy!

Bobby podźwignął go z podłogi i wepchnął do celi. Ten rzucił kolejną wiązkę przekleństw, pewnie dlatego, że policjant ścisnął mu kciuk.

– Jeśli ma pan zamiar rzygać, proszę skorzystać z toalety – poinformował Bobby mężczyznę, który zdążył pozielenieć na twarzy.

Grubas odepchnął go, zgiął się wpół i zwymiotował na podłogę.

Bobby pokręcił głową.

– Nadziany dupek – mruknął, kiedy za zatrzymanym zamknęły się drzwi.

Niektóre dni tak właśnie wyglądały, zwłaszcza w listopadzie.

Było tuż po dziesiątej wieczorem. Grubas został wyciągnięty z aresztu przez swojego prześlącanego prawnika, celę umyło i dyżur Bobby'ego, który rozpoczął się o siódmej rano, dobiegł wreszcie końca. Powinien pojechać do domu. Zadzwoić do Susan. Przespać się trochę, zanim o piątej zadzwoni budzik i cały radosny cykl zacznie się od nowa.

Był jednak dziwnie podenerwowany. Czuł zbyt silny przypływ adrenaliny jak na człowieka, który słynął z opanowania i powściągliwości.

Nie pojechał do domu. Przebrał się w dżinsy i flanelową koszulę i poszedł do miejscowego baru.

W Bostońskim Ogródku Piwnym siedziało wokół prostokątnego baru czternastu facetów; palili papierosy i sączyli beczkowe piwo, gapiąc się bezmyślnie w plazmowy ekran telewizora. Bobby przywitał skinieniem głowy kilku znajomych, pomachał ręką do barmana, Carla, po czym zajął wolne miejsce trochę na uboczu. Carrie podała mu nachos, które zwykle zamawiał, a Carl przyniósł colę.

– Długi dzień, Bobby?

– Jak zwykle, jak zwykle.

– Susan się zjawi?

– Jest na próbie.

– No tak, ma koncert. Za dwa tygodnie, prawda? – Carl pokręcił głową. – Taka piękna i zdolna kobieta. Mówię ci, szczęściarz z ciebie.

– Uważaj, bo usłyszysz cię Martha – ostrzegł go Bobby.

– Widziałem, jak przetacza beczki. Aż strach pomyśleć, co potrafiłaby zrobić z wałkiem.

– Mojej żonie też nic nie mogę zarzucić – zapewnił go Carl. – Głównie dlatego, że zależy mi na życiu.

Zostawił Bobby'ego z colą i nachos. W telewizji podawano właśnie wiadomości na temat tego, co działo się w Revere. Uzbrojony po zęby mężczyzna po oddaniu kilku strzałów do sąsiadów zabarykadował się w swoim domu. Bostońska policja przysłała brygadę antyterrorystyczną i „sprawę traktowano bardzo poważnie”.

Tak, listopad to dziwny miesiąc. Ludzie chodzą rozdrażnieni, ubywa im odporności przed nadchodzącą ponurą zimą. Nawet tacy faceci jak Bobby musieli uważać, by nie dać się wyprowadzić z równowagi.

Skończył nachos i dopił colę. Uregulował rachunek i kiedy nabrał już przekonania, że powrót do domu jest naprawdę dobrym pomysłem, zabrzęczał nagle jego przypięty do paska biper. Gdy tylko Bobby spojrział na ekranik, natychmiast rzucił się do drzwi.

To był tego rodzaju dzień. A teraz zaczynała się jedna z tych nocy.

CATHERINE ROSE GAGNON RÓWNIEŻ nie lubiła zbytnio listopada, choć jej problemy zaczęły się tak naprawdę w październiku. Dokładnie dwudziestego drugiego października 1980 roku. Kiedy wracała ze szkoły do domu, było ciepło i gorące promienie słońca muskały jej twarz. Niosła książki i miała na sobie swój ulubiony szkolny strój: brązowe podkolanówki, ciemnobrązową sztruksową spódniczkę i złocistą bluzkę z długimi rękawami.

Podjechał do niej od tyłu jakiś samochód. Początkowo go nie zauważyła, ale w pewnym momencie zdała sobie sprawę,

że niebieski chevrolet, mijając ją, zwalnia. Usłyszała głos mężczyzny. „Hej, kochanie. Możesz mi pomóc? Zginął mi pies”.

Potem były stłumione krzyki protestu, ból i krew. Łzy spływające po policzkach. Zęby zagryzające dolną wargę.

Później ciemność i jej nieśmiały, głuchy krzyk: „Jest tam ktoś?!”.

A potem przez długi czas nie było nic.

Powiedziano jej, że trwało to dwadzieścia osiem dni. Catherine nie mogła tego wiedzieć. W ciemności nie istniał czas, była tylko samotność, która wlokła się bez końca. Był chłód i cisza, a czasami wracał on. Wtedy coś się chociaż działo. Ale ta bezdenna nicość doprowadzała ją do obłądu.

Znaleźli ją myśliwi. Osiemnastego listopada. Zobaczyli drewnianą pokrywę, postukali w nią kolbami strzelb i byli zaskoczeni, gdy usłyszeli ze środka ciche krzyki. Ocalili ją triumfalnie, odkrywając niewielką wykopaną w ziemi jamę i wypuszczając Catherine na rześkie jesienne powietrze. Potem zobaczyła swoje zdjęcia w gazetach. Otwarte szeroko ciemnoniebieskie oczy, wychudła twarz, skulone ciało. Przypominała brązowego nietoperza wyciągniętego brutalnie na słońce.

Gazety nazwały ją Cudem Święta Dziękczynienia. Rodzice zabrali ją do domu. Sąsiedzi i krewni wchodzili gromadnie przez frontowe drzwi z okrzykami: „Och, dzięki Bogu!”, „Wróciłaś akurat na Święto Dziękczynienia!” albo „Och, aż trudno uwierzyć w to, co się stało!...”.

Catherine siedziała i pozwalała mówić otaczającym ją ludziom. Podbierała jedzenie z przepełnionych tac i chowała je do kieszeni. Miała opuszczoną głowę i skulone ramiona. Była wciąż małym nietoperzem i z powodów, których nie potrafiła wyjaśnić, raziło ją światło.

Przyjechali kolejni policjanci. Opowiedziała im o

mężczyźnie, o samochodzie. Kiedy pokazali jej zdjęcia, wybrała jedno z nich. Później, po paru dniach czy tygodniach – co za różnica? – przyjechała na komisariat i wskazała uroczyscie jednego z ustawionych w szeregu mężczyzn.

Richard Umbrio stanął przed sądem sześć miesięcy później. A po upływie trzech tygodni Catherine składała zeznania, ubrana w niebieską prostą sukienkę i lśniące baleriny, po raz ostatni znów wskazując sprawcę. Richard Umbrio dostał dożywocie.

A Catherine Rose wróciła z rodziną do domu.

Niewiele jadła. Lubiła chować jedzenie do kieszeni albo trzymać je po prostu w dłoni. Mało też spała. Leżała w ciemnościach, a jej niewidzące oczy nietoperza szukały czegoś, czego nie potrafiła nazwać. Często nieruchomiała, żeby sprawdzić, czy potrafi oddychać, nie wydając żadnego dźwięku.

Jej matka stawiała czasem w drzwiach, krzyżując nerwowo na piersiach ręce z bladymi dłońmi. Catherine słyszała potem, jak ojciec krzyczy z przedpokoju: „Wracaj do łóżka, Louise! Zawoł cię, jak będziesz jej potrzebna”.

Ale Catherine nigdy nie wołała.

Mijały lata. Catherine dorastała, chodziła dumnie wyprostowana, zapuściła długie włosy i odkryła w sobie urzekającą mroczną urodę, która zniewalała mężczyzn. Miała białą jak śnieg skórę, lśniące czarne włosy i ogromne granatowe oczy. Mężczyźni rozpaczliwie jej pożąдали. Więc wykorzystywała ich wszystkich. To nie była jej wina. Ani żadnego z nich. Po prostu była pozbawiona wszelkich uczuć.

Matka zmarła w 1994 roku. Na raka. Catherine stała przy jej trumnie i próbowała płakać. Łzy nie chciały jednak płynąć, a suchy szloch brzmiał nieszczerze.

Wróciła do pustego domu i starała się już o tym nie myśleć, choć czasami, ni stąd, ni zowąd, przypominała sobie

matkę stojącą w drzwiach jej pokoju. *Wracaj do łóżka, Louise. Zawołaj cię, jak będziesz jej potrzebna.*

Hej, kochanie... Zginął mi pies...

Listopad 1998 roku. Dziewczyna, którą nazwano kiedyś Cudem Święta Dziękczynienia, leżała skulona w białej porcelanowej wannie, a jej nagie wychudzone ciało drżało z zimna, gdy ścisnęła w dłoni żyłkę. Miało wydarzyć się coś złego. Widziała bezdenną otchłań. Zakopaną skrzynię, z której nie będzie już powrotu.

Wracaj do łóżka, Louise. Zawołaj cię, jak będziesz jej potrzebna.

Hej, kochanie... Zginął mi pies...

Żyłka, tak cienka i lekka w jej dłoni. Muskająca ostrzem jej nadgarstek. Abstrakcyjne wyobrażenie ciepłej czerwonej krwi płynącej strużką po skórze.

Zadzwoił telefon. Catherine otrząsnęła się z letargu na tyle, by go odebrać. I ten telefon ocalił jej życie. Cud Święta Dziękczynienia zdarzył się ponownie.

Myślała o tym teraz. Kiedy telewizor ryczał na cały głos: „Uzbrojony mężczyzna zabarykadował się w swoim domu po oddaniu wielu strzałów do sąsiadów. Według bostońskich antyterrorystów, sytuacja jest bardzo dynamiczna i niebezpieczna”, syn szlochał w jej ramionach, wołając: „Mamusi... mamusi... mamusi”, a jej mąż wrzeszczał z parteru: „Wiem, co robisz, Cat! Masz mnie za głupka? To ci się nie uda! Za cholerę się nie wywiniesz! Nie tym razem!”.

Jimmy pędził po schodach do sypialni.

Telefon już raz ocalił Catherine życie. Modliła się teraz, by znów tak się stało.

– Halo? Halo? Dziewięćset jedenaście? Słyszycie mnie? Chodzi o mojego męża. Chyba ma broń.

Rozdział 2

BOBBY NALEŻAŁ OD SZEŚCIU lat do Specjalnej Grupy Taktyczno-Operacyjnej (STOP) policji stanu Massachusetts. Wzywany co najmniej trzy razy w miesiącu – zwykle w każde cholerne święto – sądził, że niewiele może go jeszcze zaskoczyć. Tej nocy okazało się, że jednak może.

Pędząc radiowozem ulicami Bostonu, skręcił z piskiem opon w prawo, w Park Street, w kierunku zwieńczonej złotą kopułą siedziby parlamentu, po czym zjechał w lewo, w Beacon Street, i przemknął obok parku Boston Common. W ostatniej chwili omal się nie zbłądził, bo chciał odbić z Arlington wprost na Marlborough Street, która była jednokierunkowa. Wdepnął hamulec jak pirat drogowy, zacisnął ręce na kierownicy i wciskając klakson, przeciął trzy pasy ruchu, żeby pozostać na Beacon Street. Miał teraz problem ze znalezieniem właściwej ulicy prowadzącej do Marlborough Street. W końcu skierował się po prostu tam, gdzie zobaczył białą lunę reflektorów i pulsujące czerwone światła karetki.

Dotarłszy do rogu Marlborough i Gloucester Street, dostrzegł wiele szczegółów naraz. Niebieskie barierki i radiowozy bostońskiej policji otaczały już niewielki kwartał ulic w sercu dzielnicy Back Bay. Żółte taśmy policyjne były

rozciągnięte wzdłuż kilku domów z piaskowca, a mundurowi zajmowali pozycje na rogach. Była już na miejscu karetka pogotowia i kilka furgonetek lokalnych mediów.

Coś zaczynało się dziać.

Bobby zaparkował fordą crown victoria obok niebieskiej barierki, wyskoczył z auta i pospieszył do bagażnika. Miał tam wszystko, czego może potrzebować do akcji dobrze wyszkolony policyjny snajper. Karabin, celownik optyczny, amunicję, dwa polowe mundury – czarny i moro – maskujący kaptur, kamizelkę kuloodporną, ubranie na zmianę, przekąski, wodę, podręczną poduszkę, noktowizor, lornetkę, dalmierz, farbę do malowania twarzy, szwajcarski scyzoryk i latarkę. Miejscowi policjanci trzymali zapewne w bagażnikach również zapasowe opony, ale stanowi czasami miesiącami nie oddalali się od samochodu.

Bobby wyjął plecak i natychmiast zaczął oceniać sytuację.

W odróżnieniu od innych oddziałów antyterrorystycznych, jego grupa taktyczna nigdy nie przyjeżdżała na miejsce jako zespół. Składała się z trzydziestu dwóch mężczyzn, rozlokowanych po całym stanie Massachusetts, od krańca przylądka Cape Cod po zbocza Berkshire Mountains. Centrala mieściła się w Adams, w zachodniej części stanu Massachusetts, i właśnie tam dowódca Bobby'ego odebrał telefon z Framingham Communications i zarządził alarm.

W tym przypadku, gdy sprawca zabarykadował się w domu z zakładnikami, wezwano trzydziestu dwóch ludzi i wszyscy mieli przyjechać. Niektórzy potrzebowali na to trzech, czterech godzin. Inni, jak Bobby, zjawili się w niecały kwadrans. Tak czy inaczej, ich dowódca szczylił się tym, że w ciągu godziny może sprowadzić w dowolne miejsce na terenie stanu co najmniej pięciu swoich ludzi.

Rozglądając się, Bobby stwierdził, że jest jednym z tych pierwszych pięciu przybyłych. Co oznaczało, że musi się

spieszyć.

Większość oddziałów antyterrorystycznych składała się z trzech zespołów: grupy szturmowej, zabezpieczającej i snajperów. Głównym zadaniem grupy zabezpieczającej było kontrolowanie obszaru działania. Snajperzy zajmowali pozycje poza tym obszarem i odpowiadali za rekonesans: obserwowali wszystko przez celowniki lub lornetki i meldowali, co dzieje się w budynku. Na koniec – jeśli policyjny negocjator nie zdołał przekonać sprawców, by się poddali – wkraczała do akcji grupa szturmowa. Zwykle kończyło się to krwawo i każdy chciał tego uniknąć, ale czasami nie było innego wyjścia.

Członkowie grupy Bobby'ego potrafili wykonać każde zadanie, ale żaden nie miał określonej specjalizacji. Ponieważ przyjeżdżali indywidualnie, byli wszechstronnie wyszkoleni, tak by mogli włączyć się do akcji natychmiast po przybyciu na miejsce. Choć więc Bobby był jednym z ośmiu snajperów w zespole, nie zajął jeszcze pozycji.

Pierwszym zadaniem było właściwe wytyczenie obszaru działania. Rozwiązywało to dziewięćdziesiąt procent problemów. Chodziło o to, by mieć nad wszystkim kontrolę. Potrzebni byli co najmniej dwaj ludzie, ustawieni na przeciwnych narożnikach i obserwujący teren.

Bobby był jednym z nich. Rozglądał się za drugim. Zauważył trzy radiowozy policji stanowej, zaparkowane po drugiej stronie ulicy, jego koledzy byli więc w pobliżu. Potem spostrzegł białą furgonetkę, w której mieściło się stanowisko dowodzenia. Podbiegł w jej kierunku.

– Funkcjonariusz Bobby Dodge – zameldował się pięć sekund później, wsiadając do pojazdu. Odłożył swój ekwipunek i wyciągnął rękę.

– Porucznik Jachrimo. – Dowódca, mężczyzna o szczupłej twarzy, uściśnął mu dłoń, ale szybko ją puścił. Był z policji miejskiej, nie stanowej. Nie zdziwiło to Bobby'ego. To

miejsce formalnie im podlegało, a poza tym oficer z policji stanowej pewnie miał przed sobą jeszcze ze dwie godziny drogi. Bobby wolałby wypełniać rozkazy własnego dowódcy, ale wyszkolono go, by okazywał posłuszeństwo także innym – oczywiście w rozsądnych granicach.

Jachrimo miał przed sobą białą tablicę i rysował diagram Gantta w jej lewym górnym rogu.

– Pańska funkcja? – spytał Bobby'ego.

– Snajper.

– Może pan zabezpieczać teren?

– Tak, panie poruczniku.

– Świetnie, świetnie. – Jachrimo oderwał się od białej tablicy na dość długo, by wystawić głowę z furgonetki i wrzasnąć do bostońskiego policjanta: – Hej, ty! Skontaktuj mnie z firmą telefoniczną! Rozumiesz? Połącz się z centralą i niech im przekażą, do cholery, że w tej furgonetce nic nie dzieła, więc jak mam stąd dowodzić? Jasne?!

Mundurowy pospiesznie się oddalił, a Jachrimo zwrócił się znów do Bobby'ego:

– W porządku, więc co pan wie?

– Mężczyzna, prawdopodobnie uzbrojony, zabarykadował się w swoim domu z żoną i dzieckiem. – Bobby powtórzył wiadomość, którą otrzymał na pager.

– Podejrzany nazywa się Jimmy Gagnon. Coś to panu mówi?

Bobby pokręcił głową.

– Nieważne. – Jachrimo skończył rysować diagram, a potem zaczął szkicować pod nim ogólny plan okolicy. – A więc sytuacja wygląda tak. Tuż po jedenastej trzydzieści na policję zadzwoniła kobieta. Przedstawiła się jako Catherine Gagnon, żona Jimmy'ego. Powiedziała, że mąż jest pijany i grozi pistoletem jej i ich synowi. Dyspozytor z centrali próbował kontynuować rozmowę, ale pojawiły się jakieś

zakłócenia i połączenie zostało przerwane. Jakąś minutę później jeden z sąsiadów zgłosił, że słyszał strzały. Dzwonił do centrali, ale nasi ludzie zostali wysłani do Revere, więc przekazałem meldunek Framingham Communications, a oni skontaktowali się z waszym dowódcą. Wasza jednostka ma iść na pierwszy ogień, może do końca akcji, a może do czasu, aż nasi załatwią sprawę w Revere. Jeszcze nie wiem. Na razie teren obstawili mundurowi. Zajęli stanowiska tutaj, tutaj i tutaj, a tu i tu zaparkowane są samochody blokujące sąsiednie ulice.

Jachrimo zaznaczył na szkicu serię krzyżyków i cały kwartał domów został odizolowany od reszty dzielnicy.

– Gagnonowie zajmują cztery górne piętra budynku pod numerem czterysta piętnaście – ciągnął. – Policjanci ewakuowali już lokatorów z niższych pięter i sąsiednich domów. Nie nawiązaliśmy jeszcze kontaktu z nikim w mieszkaniu, co szczerze mówiąc, bardzo mnie martwi. Moim zdaniem już od dziesięciu minut powinniśmy mieć zabezpieczony teren, a negocjator powinien się zjawić osiem minut temu. Ale widać tylko ja tak uważam...

– Ilu mamy ludzi?

– Są już na miejscu Fusilli, Adams i Maroni. Obserwują dom, zabezpieczają teren i może spróbują dostać się do środka. Jeden z moich ludzi szuka planów budynku, a drugi... mam nadzieję... połączy mnie zaraz z tą pieprzoną firmą telefoniczną.

– Jakież informacje od sąsiadów?

– Według lokatora z parteru, w ciągu ostatnich pięciu lat Gagnonowie solidnie przebudowali swoje mieszkanie. Podwyższyli kosztom strychu pomieszczenia na trzecim piętrze, gdzie mają ogromną sypialnię z balkonem. Na parterze jest niewielka kawalerka i hol, z którego dojeżdża się windą na pierwsze piętro do drzwi Gagnonów. Są tam także

schody prowadzące na wszystkie piętra. Suterенę przerobiono na dwupokojowe mieszkanie. Ewakuowaliśmy parę, która tam mieszka. Nic nie byli w stanie nam powiedzieć. Nie mają pojęcia, gdzie są instalacje elektryczne czy wyjścia awaryjne. Zero informacji. To stary budynek, więc czeka nas pewnie trochę niespodzianek. Zdaje się, że Gagnonowie nie są zbyt towarzyscy i nawet jeśli urządzali przyjęcia, to nie zapraszali na nie sąsiadów. Wciąż się kłóca, wzywano nas już do nich z powodu małżeńskich awantur. Ale pierwszy raz któryś z nich sięgnęło po broń, więc to coś nowego. Ona czy on? Cholera wie. Szkoda tylko dzieciaka. No więc tak to wygląda.

Porucznik skończył akurat w chwili, gdy zjawił się ktoś z firmy telefonicznej. A także jeden z kolegów Bobby'ego.

– Doskonale – rzucił Jachrimo. – Pan – wycelował palec w nowo przybyłego policjanta – zabezpiecza teren. A pan – wskazał na Bobby'ego – niech zajmie stanowisko obserwacyjne. Chcę informacji na temat tego domu. Gdzie jest mąż, gdzie żona, gdzie dziecko. A przede wszystkim czy jeszcze żyją. Bo minęło już ponad pół godziny, a nic nie wiemy.

OPUŚCIWSZY STANOWISKO DOWODZENIA, BOBBY ruszył szybkim krokiem. Przydzielono mu zadanie i miał do wyboru parę opcji. Szybko je przeanalizował.

Po pierwsze, odpowiedni ekwipunek. Wybrał połowy mundur moro w szarych odcieniach. W czarnym byłby zbyt widoczny. Dzięki kamuflażowi nie rzucił się w oczy, mógł wtopić się w otoczenie.

Na wierzch założył lekką kamizelkę kuloodporną. Reszta zespołu będzie miała kamizelki z kevlaru, z płytami borowymi, ale dla snajpera są za ciężkie. Bobby musiał być w stanie szybko się poruszać, ale także zajmować czasem przez wiele godzin niewygodną pozycję. Wystarczała mu lekka

kamizelka i hełm.

Następna sprawa: karabin, celownik optyczny i amunicja. Zawiesił sobie na ramieniu sig sauera 3000, a potem wybrał lunetę celowniczą Leupold 3-9X 50 mm. Była już nastawiona na sto metrów, standardową odległość dla policyjnych snajperów, w odróżnieniu od wojskowych, którzy nastawiali ją na pięćset metrów. No ale ci biegają w swoich siatkach maskujących i czołgają się po bagnach. Praca Bobby'ego rzadko była aż tak interesująca.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zabrać noktowizora, ale ponieważ cały teren był oświetlony jak w Dzień Niepodległości, dał sobie spokój.

Pozostawała jeszcze amunicja. Wybrał dwa rodzaje nabojęw do remingtona kalibru .308: zwykłe i ze wzmocnionymi czubkami. Te pierwsze były standardowymi pociskami, te drugie nadawały się lepiej do przestrzeliwania szkła. Zważywszy, że tej zimnej nocy wszystkie okna mieszkania były pozamykane, zamierzał włożyć do komory nabój drugiego typu. Jeśli można oddać tylko jeden strzał, trzeba ryzykować.

Następnie Bobby zredukował zawartość plecaka do trzech butelek wody, dwóch batonów energetycznych, podręcznej poduszki, lornetki i dalmierza. Zamknął bagażnik i skręcił od razu w ulicę.

Miał już sprzęt, teraz musiał zająć pozycję.

Back Bay była starą, bogatą dzielnicą Bostonu. Wysokie, wąskie budynki z piaskowca chełpiły się granitowymi łukami, wymyślnymi balkonami z kutego żelaza i dużymi wykuszowymi oknami. Rozłożyste drzewa, piękne latem, lecz teraz pozbawione liści, rozpościerały nagie gałęzie nad stojącymi pod nimi bmw, saabami i mercedesami, a szare zwoje bezlistnego bluszczu pięły się w świetle policyjnych reflektorów po ceglanych ścianach, oplatając zdobne futryny

okien. Była to piękna dzielnica, dystygowana, hermetyczna, nieco arogancka.

Choćby Bobby pracował całe lata, nie byłoby go stać, żeby parkować na tej ulicy samochod, a co dopiero tu zamieszkać. To zabawne, że ludzie, którzy niby wszystko mają, potrafili tak spieprzyć sobie życie.

Uznał, że odległość nie stanowi problemu. Budynki stały obok siebie, a ulica miała tylko pięćdziesiąt metrów szerokości. Gorzej było z kątem strzału. Żeby uniknąć kłopotów, nie powinien przekraczać czterdziestu pięciu stopni. Kamienica, o którą chodziło, miała pięć kondygnacji i suterenę. Dowódca wspomniał jednak, że poddasze właściwie zlikwidowano, tworząc sklepiony sufit w ogromnej sypialni na trzecim piętrze.

To zgadzałyby się z tym, co Bobby teraz widział: właśnie tam, za balkonem z kunsztowną balustradą z kutego żelaza, paliły się światła.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, by mieć lepszy widok. Słupki żelaznej balustrady były oddalone od siebie o jakieś osiem centymetrów. Żaden problem, zważywszy, że trenował co miesiąc strzały z dokładnością do trzech centymetrów. Kąt strzału pozostawał jednak problematyczną sprawą. Strzelając na wprost, trafiłby w szczelinę o szerokości ośmiu centymetrów bez najmniejszego trudu. Ale gdyby miał oddać strzał w górę lub w dół pod kątem większym niż trzydzieści stopni...

Musiał zdecydowanie zająć stanowisko gdzieś wyżej.

Spojrzał na trzypiętrową kamienicę, stojącą dokładnie na wprost domu Gagnonów i chwilę później dobijał się do jej starych drewnianych drzwi. Chociaż porucznik Jachrimo powiedział mu, że policja ewakuowała już okolicznych mieszkańców, Bobby wcale nie był zaskoczony, gdy otworzył mu starszy jasnooki mężczyzna w ciemnozielonym

szlafroku. To zdumiewające, jak wielu ludzi nie chce opuścić swoich domów, nawet kiedy otaczają ich uzbrojeni po zęby antyterrorysty.

– Hej! – odezwał się staruszek. – Pan z policji? Bo powiedziałem już jednemu z waszych, że nie wychodzę.

– Muszę dostać się na najwyższe piętro – oznajmił Bobby.

– Czy to karabin?

– Proszę pana, prowadzimy akcję policyjną. Muszę się dostać na najwyższe piętro.

– W porządku. Tam jest sypialnia. Ooo! – Mężczyzna otworzył szeroko oczy. – Teraz rozumiem. Mój balkon jest naprzeciw domu Gagnonów. Jest pan pewnie policyjnym snajperem. Och, mogę w czymś pomóc?

– Proszę wpuścić mnie na górę. Natychmiast.

Staruszek był niezwykle usłużny. Prowadząc Bobby'ego pospiesznie po krętych schodach, poinformował go, że nazywa się George Harlow i jest konsultantem. Niemal zawsze jest w podróży i tylko szczęśliwym trafem spędza ten wieczór w domu. Jego kamienica jest mniejsza i nie tak ładna jak inne, ale w całości należy do niego. Sąsiedzi spekulują, ile musi być warta. W zeszłym miesiącu dom w Back Bay sprzedano za prawie dziesięć milionów dolarów. Dziesięć milionów. Taaa... ojciec George'a, choć pijak, zostawił mu w sumie niezły spadek. Oczywiście podatki od nieruchomości rujną go.

Czy mógłby dotknąć karabinu?

Bobby mu nie pozwolił.

Dotarli do sypialni. Była przestronna, prawie bez mebli i obrazów na ścianach. Ten człowiek musiał rzeczywiście rzadko bywać w domu, bo Bobby widywał nawet pokoje hotelowe, które wyglądały przytulniej. Frontowa ściana była jednak cała ze szkła i miała na środku rozsuwane drzwi. Doskonale.

– Proszę wyłączyć światło – powiedział.

Pan Harlow niemal zachichotał, wykonując jego polecenie.

– Ma pan jakiś stół, z którego mógłbym skorzystać?
Najzwyczajniejszy. I krzesło.

Gospodarz miał stolik do kart. Bobby ustawił go, starszy pan przysunął metalowe składane krzesło. Bobby czuł, że ma przyspieszony oddech. Ciekawe, jaki był tego powód. Wspinaczka na trzecie piętro? Czy przypływ adrenaliny w oczekiwaniu na wieczór, który dopiero się zaczynał?

Był na miejscu od szesnastu minut, niezły czas, ale nie rewelacyjny. Przyjechali już zapewne następni koledzy. Teren został należycie zabezpieczony. Wkrótce zajmie stanowisko jeszcze jeden obserwator i będą mieli do dyspozycji dwie pary oczu. Potem zjawi się zespół negocjatorów i nawiąże w końcu kontakt z uzbrojonym mężczyzną.

Bobby położył się sauera na stole. Rozsunął lekko szklane drzwi, tylko tyle, by wystawić lufę, i usiadł na metalowym krześle. Włączył nadajnik zamontowany w kamizelce kuloodpornej i zaczął mówić do wetkniętego w ucho mikrofonu-słuchawki, który reagował na drgania jego szczęki.

– Zgłasza się Snajper Jeden.

– Melduj, Snajper Jeden – odpowiedział porucznik Jachrimo.

Bobby przyłożył oko do optycznego celownika i zobaczył w końcu Gagnonów.

Rozdział 3

– WIDZĘ ODWRÓCONEGO PLECAMI białego mężczyznę. Jakies metr osiemdziesiąt wzrostu, krótkie kasztanowe włosy, granatowa koszula. Stoi mniej więcej metr od przeszklonych balkonowych drzwi od strony głównej fasady budynku, którą będę nazywał stroną A trzeciego piętra. Drzwi mają około metra szerokości, otwierają się na zewnątrz i stanowią trzeci otwór w ścianie. Pierwszym jest przesuwane w pionie okno o rozmiarach siedemdziesiąt centymetrów na dwa metry. Drugim tego samego typu okno, o dziesięć centymetrów węższe. Otwór czwarty po stronie A, na poziomie trzeciego piętra, to okno tej samej wielkości co drugie.

Bobby przekazywał informacje na temat mieszkania Gagnonów, uważnie obserwując samotnego mężczyznę, który nie poruszał się, jakby na kogoś patrzył albo czegoś szukał. Obie ręce trzymał przed sobą, więc Bobby nie był w stanie stwierdzić, czy ma broń.

Korzystając z lornetki, próbował zlokalizować kobietę i dziecko, ale ich nie dostrzegł.

Pokój okazał się sypialnią z wielkim łóżkiem z kutego żelaza, ozdobionym przezroczytymi białymi draperiami. Stało dokładnie na środku, równoległe do drzwi balkonowych. Za nim Bobby widział harmonijkowe drzwi. Zapewne

do garderoby. Dalej, po lewej, zobaczył wnękę z kolejnymi drzwiami. Łazienka? Salon?

W tak dużej sypialni łatwo się było ukryć. Mogło być ciekawie.

Próbował tak nastawić lornetkę, by przeniknąć półmrok niszy po lewej stronie, ale bez powodzenia. Rzucił okiem na pozostałe oświetlone okna budynku, lecz nie zauważył śladów czyjejkolwiek obecności.

Więc gdzie są żona i dziecko? Ukryli się pod łóżkiem? W garderobie? A może leżą martwi na podłodze?

Bobby czuł, jak żołądek kurczy mu się z napięcia. Zmusił się, by powoli zaczerpnąć tchu, a potem wypuścić powietrze. Starał się skoncentrować. Zachować obiektywizm. Nabrać dystansu.

Wiecie, jaka jest różnica między strzelcem a snajperem? Strzelec czuje swój puls. Snajper nie.

Przygotował się na długie wyczekiwanie. Podłożył pod karabin poduszkę z grochem, żeby mieć lufę na odpowiedniej wysokości. Przysunął krzesło tak, by mógł oprzeć się o stół, dopasowując kolbę do ramienia. Gdy zajął już wygodną pozycję i czuł się tak, jakby karabin był jego trzecią ręką, pochylił się naprzód i przytknął policzek do kolby, a oko do celownika. Obejmował teraz wzrokiem wszystko. Mógł strzelić do dowolnego celu.

Przyjrzał się jeszcze raz samotnemu mężczyźnie, który w tym momencie zaglądał za łóżko. Włożywszy do komory karabinu pocisk ze wzmocnionym czubkiem, Bobby namierzył powoli tył jego głowy. Oddychał płytko i miał równy puls. Ręka mu nie drżała.

Policjny snajperzy ćwiczyli tylko jedną umiejętność: jak natychmiast unieszkodliwić osobnika, który może trzymać palec na spuście. Bobby szkolił się co miesiąc, jak trafić w pień mózgu.

Zajmował dobrą pozycję. Kąt był odpowiedni, odległość wystarczająca. Szkło balkonowych drzwi mogło spowodować lekkie odchylenie toru lotu pocisku, ale dzięki amunicji, którą Bobby dysponował, nie powinno to stanowić problemu. Przy nieruchomym celu nie musiał się martwić, że straci go z oczu, a wobec tak niewielkiej odległości warunki atmosferyczne nie miały znaczenia.

Odsunął się od celownika, uważając, by nie poruszyć broni, i prawą ręką zanotował w służbowym dzienniku, jaką ma amunicję, jak ustawił celownik i jaką zajmuje pozycję. Potem wziął lornetkę, która zapewniała mu szersze pole widzenia, i ponownie, zachowując ostrożność, by nie poruszyć karabinu, zaczął obserwować mieszkanie.

Mężczyzna przesunął się nieco w stronę nóg łóżka. Bobby czuł coraz bardziej narastające napięcie. Początkowo nie wiedział dlaczego, ale nagle zrozumiał.

Mężczyzna miał naprężone ramiona, odchylone łokcie i lekko rozstawione nogi. To była poza człowieka, który chce dominować i nadyma się, by wydawać się większym i silniejszym. Bobby gotów był się założyć, że gdyby mógł zobaczyć teraz jego twarz, ujrzałby na niej wyraz wściekłości.

Rozejrzał się ponownie za żoną i dzieckiem tego człowieka, ale bezskutecznie. Musieli jednak być gdzieś w sypialni, bo inaczej mężczyzna by wyszedł. Bobby żałował, że nie widzi jego twarzy.

Ponieważ nic się nie działo, powrócił do szkicowania planu budynku dla swojej ekipy. Postępując zgodnie z procedurą, przyporządkował poszczególnym stronom kamienicy litery A, B, C i D. Z obu boków i z tyłu przylegały do niej inne domy, pozostawał więc tylko front, oznaczony literą A. Potem ponumerował kolejne kondygnacje budynku, od parteru do czwartego piętra, i suterrenę. Na koniec opisał wszystkie otwory w ścianie po stronie A, zaznaczając, gdzie są okna, a

gdzie drzwi; podał ich przybliżone rozmiary i ponumerował je od lewej do prawej.

W ten sposób wszyscy otrzymają jednoznaczny obraz sytuacji. Mężczyzna stał przy balkonowych drzwiach, od strony A, na czwartym poziomie, przy trzecim otworze, a gdyby zrobiło się gorąco, wystarczył komunikat: samotny mężczyzna A-cztery-trzy. Bez określania, po czyjej lewej czy prawej. Trzy szybkie współrzędne – i sprawa załatwiona.

Gdy szkic był gotowy, Bobby, nauczony wieloletnim doświadczeniem, sprawdził parę rzeczy. Czy w mieszkaniu widać jakieś ślady przygotowań do obrony przed policją? Zabarykadowane drzwi, zabite deskami okna? Próby ukrycia dowodów zbrodni? Zaciągnięte zasłony albo przesłaniające widoczność przestawione meble? Takie ślady były znakiem ostrzegawczym. Podobnie jak strzały oddawane z okna albo otwarte groźby użycia przemocy.

Na razie wszędzie panował spokój. W całym budynku nie było widać nikogo z wyjątkiem samotnego mężczyzny, który stał metr od drzwi balkonowych, A-cztery-trzy. Bobby odłożył lornetkę i zaczął ponownie obserwować pokój przez celownik karabinu.

Z powodu zimnego powietrza, które wpadało przez szczelinę w rozsuniętych drzwiach, marzła mu twarz i sztywniały palce. Kiedy pojawi się obserwator, Bobby każe mu zamknąć drzwi, ale usiąść wystarczająco blisko, by mógł błyskawicznie znów je otworzyć. Na razie czuł się dobrze. Oddech miał spokojny, mięśnie rozluźnione. Obserwował teren. Opanowany, ale gotowy. Czujny, lecz odprężony. Musiał strzelić tak, by trafić. Nie myślał już nawet o stoliku do kart, o chłodnym listopadowym wietrze ani o tym, że pan Harlow stoi nadal w drzwiach za jego plecami, spragniony widowiska.

Wkrótce miał się pojawić negocjator, skontaktować się telefonicznie z agresywnym mężczyzną i spróbować znaleźć

jakieś wyjście z sytuacji. Jeśli nikt jeszcze nie ucierpiał, negocjator zapewne przekona tego człowieka, żeby wyszedł z mieszkania, póki nie grozi mu nic więcej niż tylko wstyd z powodu tego, co zrobił. Jeżeli ktoś z rodziny był ranny, albo co gorsza martwy, sytuacja się komplikowała. Ale zespół od sytuacji kryzysowych działał sprawnie. W zeszłym roku Bobby był świadkiem, jak główny negocjator, Al Hanson, przekonał trzech zbiegłych przestępców, żeby się poddali, chociaż groziło im dożywocie i nie mieli nic do stracenia, stawiając opór.

Później dowódca Bobby'ego podeszedł do więźniów, poklepał każdego po ramieniu i podziękował, że oddali się w ręce policji.

Tego typu sytuacjom towarzyszył zawsze nadmiar adrenaliny, testosteronu i niezdrowej ekscytacji. Zespół Bobby'ego zjawiał się, by stonować napięcie. Nie było powodu do pochopnych działań. Ani do używania przemocy. Spokojnie, panowie, wszystko się ułoży.

Jakiś ruch. Facet po drugiej stronie ulicy nagle się poruszył i odsunął się raptownie w prawo. Bobby dostrzegł w końcu, że ma broń.

– Białą mężczyznę, przechodzi obok drzwi balkonowych, A-cztery-trzy. Widzę, że trzyma pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Zlokalizowałem białą kobietę – powiedział Bobby z nutą triumfu w głosie. – Długie czarne włosy, ciemnoczerwona bluzka, klęczy albo siedzi za łóżkiem, jakieś cztery metry od drzwi balkonowych, A-cztery-trzy. Obejmuje białe dziecko o ciemnych włosach. Dwu- albo trzyletnie.

W słuchawce rozległ się głos porucznika Jachrimo:

– Czy kobieta albo dziecko poruszają się? Są ranni?

Bobby zmarszczył czoło. Trudno było to stwierdzić. Mężczyzna pojawił się znów w polu jego widzenia: siedł szybko, machając trzymaną w prawej ręce bronią. Bobby

wycelował w nią karabin, zastanawiając się, co dalej. Trudno mu będzie trafić, kiedy tamten wymachiwał ręką. Ustawił celownik tak, by zaobserwować, jak trzyma pistolet, jak porusza się po pokoju. Czy potrafi posługiwać się bronią? Czy jest zdenerwowanym amatorem? To też trudno było określić.

Mężczyzna przesunął się w prawo i teraz Bobby zdołał stwierdzić, że kobieta coś krzyczy. Przytuliła do siebie dziecko – chyba chłopca – przyciskając jego twarz do piersi i zaślaniając mu uszy.

Coś zaczęło się dziać. Nagle i błyskawicznie. Bobby nie potrafił powiedzieć, co spowodowało to poruszenie, ale mężczyzna zaczął krzyczeć. Bobby widział przez celownik karabinu ślinę, która przyskała mu z ust, i napięte mięśnie karku. Był to surrealistyczny widok: eksplozja wściekłości bez dźwięku.

Kobieta podniosła się, nadal przyciskając dziecko do piersi. Przestała już krzyczeć, bo najwyraźniej podjęła jakąś decyzję. Mężczyzna ciągle wrzeszczał, a ona tylko mu się przyglądała.

Nagle przystawił jej pistolet do głowy i wyciągnął lewą rękę, jakby chciał zabrać jej dziecko.

– Mężczyzna mierzy do kobiety – zameldował Bobby. – Wycelował w nią...

Pałając wściekłością, mężczyzna, nadal kierując lufę w stronę żony, obszedł szybko łóżko i zbliżył się do niej. Nie odezwała się ani słowem, nie zrobiła nawet kroku. Gdy znalazł się przy niej, krzycząc z furją, sięgnął lewą ręką po dziecko.

Oderwał chłopca od piersi matki. Bobby widział przez moment małą bladą twarzyczkę z ciemnymi dzikimi oczami. Dzieciak był potwornie przerażony.

– Mężczyzna zabrał dziecko. Popycha je przed sobą.

Żeby znalazło się jak najdalej od matki. Od tego, co ma się wydarzyć.

Bobby brał w tym udział, obserwując wszystko z zewnątrz.

Nastawił celownik, regulując ostrość tak bezwiednie, jakby nabierał powietrza.

Przesunął lufę nieco w lewo, śledząc mężczyznę, który pchnął syna na łóżko, a potem wrócił do żony.

Dziecko zniknęło w białych muślinowych draperiach i pozostali tylko oni: mężczyzna i kobieta, mąż i żona. Jimmy Gagnon już nie krzyczał, ale dyszał ciężko; jego pierś unosiła się w górę i w dół.

Kobieta w końcu się odezwała. Dzięki optycznemu celownikowi Bobby mógł łatwo czytać z ruchu jej warg.

„I co teraz, Jimmy? Co ci pozostało?”.

Jimmy nagle się uśmiechnął i widząc ten uśmiech, Bobby wiedział już dokładnie, co się zaraz stanie.

Jimmy Gagnon zamierzał nacisnąć spust. I w tym momencie Bobby Dodge, ukryty pięćdziesiąt metrów dalej w ciemnym pokoju budynku po drugiej stronie ulicy, zastrzelił go z karabinu.

DYSZAŁ. ODDYCHAŁ CIĘŻKO. NIEZNOŚNE napięcie wreszcie ustąpiło i poczuł, jak uchodzi z niego powietrze. Zdjął palec ze spustu i cofnął raptownie dłoń, jakby dotknął żywego grzechotnika. Ale wciąż patrzył przez celownik. Zobaczył, jak kobieta podbiega do łóżka, chwytą chłopca i odwraca mu głowę, by nie widział zakrwawionego ciała ojca.

Przez chwilę matka i syn stali przytuleni, spleceni ramionami. Kobieta przywarła policzkiem do czubka głowy chłopca, a potem podniosła wzrok i spojrzała w kierunku domu po drugiej stronie ulicy. Patrzyła wprost na Bobby'ego Dodge'a. Poczuł dziwny dreszcz.

„Dziękuję”, powiedziała, poruszając bezgłośnie wargami.

Bobby wstał od stolika, uświadamiając sobie dopiero teraz, że ledwie łapie oddech, a twarz ma zlaną potem.

– Jasna cholera – mruknął stojący w progu pan Harlow.

Potem świat znowu ożył. Zadudniły kroki. Zawyły syreny. Przyszli ludzie, by zabrać kobietę i mężczyznę.

Bobby założył ręce za plecy, stanął mocno na nogach i czekał, tak jak go wyszkolono. Wykonał swoje zadanie. Zabił człowieka, by ocalić komuś życie.

A teraz zacznie się afera.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).